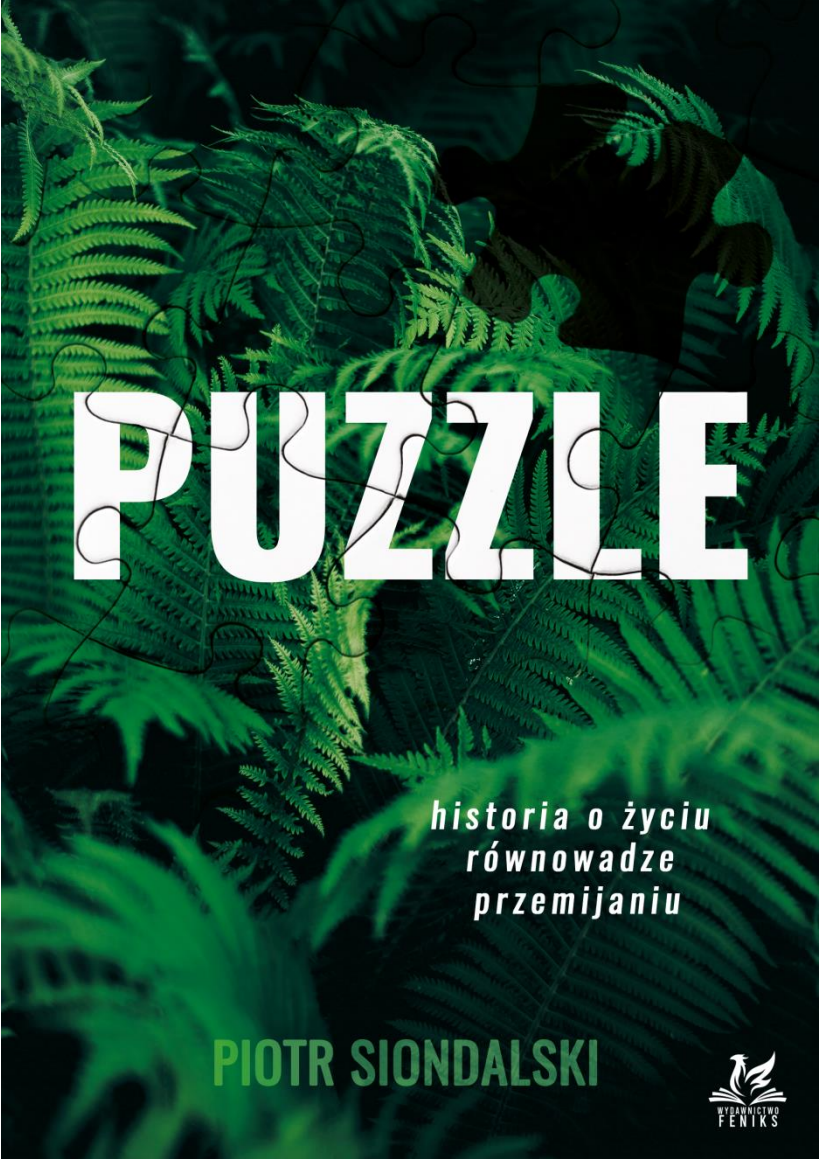


The background of the book cover is a dense, vibrant green forest of ferns. Overlaid on this natural scene is a dark, semi-transparent pattern of interlocking puzzle pieces, suggesting a complex or fragmented narrative.

PUZZLE

*historia o życiu
równowadze
przemijaniu*

PIOTR SIONDAŁSKI



PIOTR SIONDAŁSKI

PUZZLE



Copyright © Piotr Siondalski
Copyright © Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

Łasin 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja i korekta:

Anna Siwa

Anna Fiałkowska-Niewiadomska

Projekt okładki:

Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce:

Autor: Annie Spratt

Źródło: <https://www.unsplash.com>

Grafika wektorowa

Autor: Sunward Art

Źródło: <https://www.shutterstock.com>

Wydawnictwo:

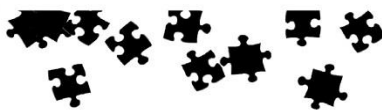
Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

ul. Tysiąclecia 6A/20, 86-320 Łasin

www.wydawnictwo-feniks.pl

Numer ISBN 978 83 958743 8 3

Puzzle powstały w oparciu o autentyczne obrazy.



Golden Bay, Nowa Zelandia, lato 2016 r.

Teodor siedział w fotelu i sącył bałkańską rakiję w willi, wybudowanej niedaleko nadbrzeża Oceanu Spokojnego. Rzadko pozwalał sobie na taką beczynność. Patrzył na rozhuśtane fale, nie starał się myśleć. Trwał.

Jego brat bliźniak – Stephen, wrócił właśnie z kolejnymi drewnianymi skarbami, wyrzuconymi w trakcie przyływu na brzeg. Przyniósł długą deskę, w której będzie mógł wyryć, wykorzystując fakturę i kształt drewna, kilka krótkich wersów swoich liryk. Uwielbiał to robić w trakcie wakacji.

Na drewnianych kawałkach tworzył prawdziwe cuda, malował obrazki, przedstawiające maoryskie tańce. Przy pomocy piły włóśnicowej, wycinał skomplikowane kształty i w ten sposób powstawały oryginalne i piękne drewniane puzzle. Gdy wracał do Szwajcarii, rozdawał je wśród dzieciaków swoich znajomych. Składały i poznawały wzornictwo polinezyjskich wyspiarzy oraz wyszukane figury

taneczne pierwotnych wojowników, których celem było wzbudzić postrach u przeciwnika. Teodor, spoglądając na kolejną pracę swojego brata, odnosił wrażenie, że już kiedyś widział te malowidła. Co więcej, wielokrotnie doświadczył składania wyciętych fragmentów w całość.

– Już kilka lat skanuję blogi mieszkańców Gdańska – powiedział do Stephena. – Na jednym z nich od paru miesięcy ciągle zadawane są pytania o Wyspy Nowej Zelandii. Nawet znaleźli się śmiałkowie, którzy planują wyprawę kamperami.

– Czy w tym jest coś dziwnego? – Stephen wzruszył ramionami.

Odczuwał bezruch powietrza w całym domu. Przed kilkoma minutami zmagał się z silnym wiatrem i kroplami słonej bryzy. Trochę żałował, że tak szybko powrócił do nagrzanej willi.

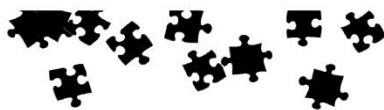
– Nic – zgodził się Teodor. – Choć interesuje mnie to z tego powodu, że ci ludzie w większości pracują w Akademii Medycznej w Gdańsku. Mam wrażenie, że ich wszystkich kojarzę. Ponadto, jeden z nich należy do kilkunastu osób na świecie, u których zastosowano implant wewnątrzczaszkowy, który umożliwia kontrolowane leczenie nowotworu mózgu. Niezwykle cenny obiekt badawczy – mówił Teodor, spoglądając przez okno.

Morskie fale nadawały rytm słowom. Łatwa narracja przy doborze lekkich słów. Zdawał sobie sprawę, jak dużo wie o ludziach, którzy niedługo przylecą do Nowej Zelandii, a on zapewni im bezpieczeństwo.

– Mówisz o tym człowieku, że jest obiektem? – Stephen odwrócił się do brata i po raz kolejny pomyślał, że widzi siebie.

– Tak, prawdopodobnie bardzo dokładnie śledzonym i strzeżonym przez chińskie służby wywiadowcze.

Widząc rozsypane na blacie stolika puzzle, Teodor łączył w myślach fakty. Wśród nich były takie, których doświadczył oraz te do przewidzenia. Jego życie przypominało barwne puzzle o różnorodnych kształtach. Spoglądając na nie z daleka, wyłaniał się obraz smutku oraz samotności. To niekończąca się podróż dokądś lub za czymś. Ciągi osób, spotkań, tajemnic, zagrożeń, niespodziewanych odkryć i zwrotów akcji. Tęsknił do matki, która nie zdążyła go nawet pogłaskać, do rodzinnego kraju, który odpychał go skutecznie, do ojca – chyba najbardziej – ponieważ świadomie rozmawiał z nim jedynie kilkanaście minut.



Gdańsk – Londyn, 23/24.01.2018 r.

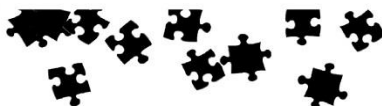
Wewnątrz samolotu brytyjskich linii lotniczych było schludnie i wszystko zostało odpowiednio wygłuszone. Całość zrobiła na nas dobre wrażenie. Z głośników wybrzmiewała klasyczna muzyka. I tak sobie w nim siedzimy rozmyślając o tym, co pozostawiamy w Polsce. O sprawach zakończonych i tych, które muszą poczekać, bo ciągle są otwarte. Zastanawiamy się także, co nas czeka w ciągu najbliższych trzech tygodni.

– Chciałbym opisać wszystko, co zobaczę, doświadczyć. Czerpać radość z zabawy słowem. Mam nadzieję, że uda mi się zobaczyć nowe obrazy i kolory. Najbardziej zależy mi na tym, aby te wrażenia zamieniły się w mojej głowie w myśli, komentarze, opisy scen, wydarzeń i postaci. Marzę o tym, aby być kreatywnym i mieć lekkie pióro.

Mam niejasne wrażenie, że podróż na drugi kraniec ziemi, przyniesie coś nowego. Może będę bliżej odkrycia tajemnicy?

Na pasie lotniska im. Fryderyka Chopina w Warszawie stoją bardzo wysokie latarnie, na szczytach, których zamieszczono baterie lamp, a słupy pomalowano na białoczerwone pasy – nie wiadomo: z powodu ostrożności czy patriotyzmu?

Żegnamy się z mroźną krainą, pokrytą śniegiem. Ponad chmurami wita nas słońce, niewidoczne z powierzchni ziemi, jakby chciało zapowiedzieć fajne, letnie przygody, po drugiej stronie globu – w Nowej Zelandii.



Gdańsk, wrzesień 1981 r.

Teodor przyglądał się swojemu samolocikowi. Rozpiętość skrzydeł wynosiła sześć metrów i dwadzieścia centymetrów, a ich szerokość jeden metr i siedemdziesiąt dwa centymetry. Kadłub był wyjątkowo krótki, bo jedynie czterometrowy. Mieściła się w nim kabina przeznaczona dla pilota i pasażera siedzącego z tyłu oraz przestrzeń silnikowa –

przed pilotem. W skrzydłach umieszczone były płaskie, aluminiowe baki z paliwem. Z przodu zamontowane zostało dwuskrzydłowe, proste śmigło, wykonane z wyjątkowo twardego gatunku drewna. Na ogonie stateczniki poziome, o szerokości dwa i pół metra z ruchomymi lotkami oraz pionowy – wąski, bardzo wysoki.

Przyglądał się, dokąd, dzięki ruchomej konstrukcji, podąża maszyna, to on umożliwiał jej manewrowanie. Stelaż kadłuba, skrzydeł i stateczników wykonany został z lekkich stopów aluminium. Konstrukcję pokrywała tkanina z celulozy, zaprasowanej na włóknach szklanych o uporządkowanym splocie. Od zewnątrz została pomalowana żywicą epoksydową i lakierem. Taki zabieg zapewniał niezwykłą lekkość i trwałość, a wyważenie całości pozwalało osiągać spore zasięgi lotu ślizgowego. Samolocik Teodora mógł latać jak szybowiec. Bezpiecznie i spokojnie na wyłączonym silniku. Konstruktor cenił ciszę, jaka zapadała w takich momentach i grozę odczuwaną podczas próby lądowania.

Przednie koła podwozia umieszczono na skrzydłach. Z tyłu, na ogonie od spodu była płoza z aluminium, do której przymocowano płaskie kawałki drewna o dużej twardości. Co jakiś czas trzeba było je wymieniać, bo się ścierały. Teodor czyścił też owiewkę i błotniki zmywając błoto, kurz i martwe

owady. Serwisował silnik i smarował linki poruszające lotkami, likwidował luzy na cięgłach i dokręcał śruby.

Dzisiejsze popołudnie, jak i wieczór zapowiadały się bardzo obiecująco. Ciepło, bezwietrznie i bezchmurne niebo. Dzisiaj miał urodziny, skończył trzydzieści trzy lata, był w dobrym nastroju.

Dotarł do wiaty, której wygląd wskazywał na kompletne zaniedbanie. Uruchomił bez trudu stary ciągnik Ursus – Ciapiek. Pomimo braku dachu, pokrywy silnika i opon na przednich kołach, traktor ruszył. Powoli odsłonił pas startowy mini lotniska, który wcześniej zamaskował wiatrołomami. Samolotek stał samotnie wśród niewysokich drzew w przewiewnym, niziutkim, brezentowym zielonym namiocie.

Podniósł ogon samolotu i bez trudu wypchnął na pas startowy, którego powierzchnia stanowiła prostokąt o długości pięćdziesięciu metrów i szerokości dziesięciu. Przymocował grubą linę węzełkiem do tylnej płozy tak, by można było w każdej chwili ją zwolnić. Wystarczyło tylko pociągnąć. Drugi koniec przywiązał do słupka żelbetowego, wystającego z ziemi, zaledwie kilka metrów za pasem.

Włożył na głowę czapkę i gogle. Zakręcił śmigłem i uruchomił silnik. Wdrapał się do ciasnej kabiny i umościł

w fotelu. Pochylił do przodu dźwignię gazu, zwiększając tym samym stopniowo obroty silnika do dwunastu tysięcy. Człowiek i maszyna stanowili jedność, byli jednym ciałem, które za chwilę wzbije się w powietrze. Poruszał łagodnie lotkami poziomymi – ich ruch obserwował w lusterku. Wszystko działało bez zarzutu. Elementy konstrukcyjne i linki były nieprzetarte, nasmarowane, niezawodne. Przypomniawsobieswoich opiekunów, którzy niegdyś cierpliwie montowali wszystkie elementy samolotu. Teraz wyrывał się i drżał niecierpliwie, wyczekując na start.

Wśród drzew skradali się trzej mężczyźni. Jednego rozpoznał. Był to pracownik Urzędu Bezpieczeństwa, który jakiś czas temu złożył mu wizytę w mieszkaniu.

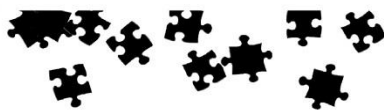
Zrozumiał, że w tym momencie jego życie się zmieni, bezpowrotnie. Znaleźli jego lotnisko, został zdekonspirowany. Czekał go ostatni lot nad żyznymi Żuławami, kanałami, Zatoką Gdańską. Wyląduje, gdy zabraknie paliwa w zbiorniku i porzuci swój samolocik oraz dotychczasowe życie. Zostawi za sobą całą swoją własność – mieszkanie, książki, skarb wyniesiony z wojskowej barki i ukryty we wnętrzu pomnika na Westerplatte.

Popatrzył na trzech mężczyzn i rozpoznał w ich oszczędnych ruchach agresję. Silnik oraz wirujące śmigło

zagłuszały słowa. Napięcie rosło wraz ze zmniejszającą się pomiędzy nimi odległością. Ukryty w papierowym korpusie człowiek, ubrany w skórzaną czapkę i gogle uśmiechnął się i spokojnie rozpoczął swoją kolejną wędrówkę. Był doskonale przygotowany na kolejne wyzwania. Kilka lat treningu na wojskowym obozie specjalnym i stał się niezniszczalnym wojownikiem oraz doskonałym strategiem. Studia medyczne i inżynieryjne, nauczyły go wielozadaniowej oceny sytuacji, bez zbędnej straty czasu.

Jeszcze przez kilkanaście sekund zwiększał obroty silnika i płynnym ruchem zwolnił linę przymocowaną do haka. Patrząc na agresorów z UB, czuł jak samolot i on pędzą do przodu. Kule wystrzelone z odległości pięćdziesięciu metrów nie dosięgnęły kabiny. Za to uszkodziły kadłub w odległości metra od pilota. Małe dziurki nie mogły zaburzyć lotu.

Strach opuścił podświadomość Teodora. Nigdy wcześniej nie zamieszkiwał w niej na stałe. Przy końcu pasa samolocik łagodnie wzniósł się i stopił z wieczornym niebem. Ucichł już dźwięk silnika, gdy trzej wściekli mężczyźni oglądali pas startowy, podziwiali jakość betonu, zniszczyli namiot i kopali opony starego traktora.



Londyn, 24.01.2018 r.

Londyn – wylądowaliśmy. Chmury i słońce. Nieco wiatru, małe turbulencje. Lecąc ze wschodu na zachód dogoniliśmy jedną godzinę.

Przód stojącego na lotnisku Airbusa – dwupiętrowego olbrzyma – do złudzenia przypominał pysk delfina. Doskonały kształt, aby przebijać się przez gęste, jak śmietana powietrze.

Zamawiamy ciemnego Guinnessa z pianką na dwa palce. Kelner obok kufli postawił miskę z orzeszkami. Jesteśmy nienaturalnie podekscytowani. Wszyscy mówili jednocześnie, wątki przeplatały się, jak sploty w tkaninie.

– Pamiętasz Pawła W., który na imprezie trzydzieści lat temu, zdał egzamin specjalizacyjny z chirurgii jeszcze przed swoim wyjazdem z Polski, wychodził przez bramkę w twoim ogródku i zapomniał jej otworzyć? Na szczęście była niska i prawie udało mu się ją pokonać. Potknął się i leżał w poprzek uliczki Dubois – wspominał Krzysiek.

Mówiąc to wziął łyk piwa i się zakrztusił. Z jego ust wyleciała sama piana. Wytarł nos i usta w serwetkę i nieśmiało, z zażenowaniem, przeprosił za swój nietakt. Chusteczki miał schowane w walizce.

– Pamiętam, że był rozbawiony całą sytuacją. Krztusił się ze śmiechu – odpowiadam przywołując wspomnienie, wciąż żywe i świeże, jakby miało miejsce przed paroma dniami. – Teraz pracuje w Chicago, jest dyrektorem projektu przeszczepów wysp trzustkowych – dodałem po chwili.

– Na tej imprezie była też Lilka, ta dziewczyna z Litwy, nostryfikowała dyplom w Polsce, asystentka z chirurgii ogólnej. Śpiewała czastuszki takim cienkim, donośnym głosem i wówczas przyjechała milicja. Stanęli na rogu Lilli Wenedy i Hallera.

– No, jak ktoś tak donośnie śpiewa po litewsku w środku Wrzeszcza o godzinie trzeciej nad ranem, musi zostać przesłuchany przez stróżów porządku publicznego – mówiąc to Krzysiek częstował orzeszkami.

Kelner czekał spokojnie, aby zapytać, czy jeszcze czegoś nie potrzebujemy.

– A czy wiecie, że oboje korespondowali z kimś, kogo znał ten wielki, łysy pielęgniarz Paul z Izby Przyjęć? Lilka prawdopodobnie poznała tego tajemniczego osobnika w czasie

swojej służby wojskowej na Zakaukaziu. On później rozpoznał ją w Gdańsku na Akademii Medycznej. Tajemniczy jegomość zniknął około roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Nigdy więcej już o nim nie wspominała – powiedziałem to właściwie do siebie.

Wszyscy pozostali wsłuchiwali się w komunikaty o opóźnionych lotach.

Pomarańczowe lampy w restauracji ułatwiały przywoływanie dawnych obrazów i skojarzeń. Rzucały nowe światło na wspomnienia sprzed wielu lat. I jeszcze to piwo i emocje.

– Przeniosła się do szpitala w Sztumie i ucięła kontakty z ludźmi z Gdańska. Myślisz, że Paweł też go znał? – mówiłem już tylko do Krzyska, który marszczył się śmiesznie ćwicząc pamięć.

Po chwili odpowiedział:

– Pawłowi coś się popsło w życiu, jakiś problemy z rodziną, żoną. Szukał ucieczki i prawdopodobnie znalazł sposób z pomocą Lilki, może jej znajomego? Nie wiem. Jego wyjazd był zaplanowany perfekcyjnie, obyło się bez najmniejszej wpadki.

Z głośników dało się słyszeć alert. Wzywano pasażera, który pewnie zamyślił się nad kolejnym piwem. Ludzie

przemieszczali się wokół idąc lub biegnąc. Stukot kółek toreb bagażowych dominował w hali odlotów i przylotów.

– Czy ten tajemniczy ktoś pracował w Akademii? – zapytałem Krzyska drążąc temat, który męczył mnie coraz bardziej.

– Nie wiem, nawet, jeżeli pracował, to bardzo krótko i chyba nikt już teraz go nie pamięta. Kiedyś profesor Struś, nasz pierwszy szef, wspominał o kimś, kto był niezwykle uzdolniony. Pewnego razu nie przyszedł do pracy. Był wolontariuszem, więc nikogo takie zachowanie nie zdziwiło. Profesora, jak wiesz, już też z nami nie ma. Zmarł rok temu. – Krzysiek przywołał znane tylko nam fakty.

– Tajemniczy Ktoś tak pomocny i nieznany. Pewnie Paweł będzie wiedział, coś na jego temat. – Pociągnąłem ostatni łyk ciepłego już piwa.

Zaczęliśmy wspominać posiedzenie Rady Wydziału Akademii Medycznej w Gdańsku, na której Paweł bronił tezy swojego dorobku habilitacyjnego. Siedział w fotelu, w gabinecie w Stanach Zjednoczonych. Był trochę zaspany z powodu różnicy czasowej. Wideokonferencja odbywała się w porze korzystnej dla europejskiej uczelni.

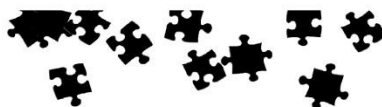
– Paweł otrzymał od naszej uczelni stopień naukowy doktora habilitowanego. Podobno chce z nami współpracować.

Jest bardzo zdolny, ale nasze realia uczelniane mogą go rozczarować. Podcinanie skrzydeł zdolnym ludziom jest u nas rozwinięte perfekcyjnie – kontynuowałem opowieść o naszym koledze sprzed lat.

Krzysiek odpowiedział zmieniając temat:

– Ciekawe, co się dzieje z Lilką. Myślisz, że była zakochana i dlatego okopała się wśród pól kartofli?

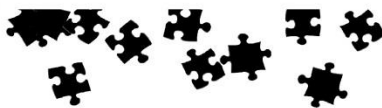
Z małym piwnym niedosytem wstajemy i ruszamy do bramki. Wsiadamy do samolotu nastawieni na długi lot. Mrowienie kończyn przypomniło o profilaktyce przeciw zakrzepowej. Jeszcze szukamy ustronnego miejsca, odsłaniamy brzuchy i wstrzykujemy sobie heparynę drobnocząsteczkową.



Londyn – Hongkong, 24.01.2018 r.

Wylot z Londynu mamy późnym wieczorem. Pośród kolorowych świateł miasta, jesteśmy niczym wypędzony i obrażony świetlik, który wznosi się coraz wyżej i wyżej.

Minęło jedenaście godzin lotu, nastał kolejny dzień. Dotarliśmy do Hongkongu. Lecąc na południowy wschód przenosimy się do wcześniejszego dnia lub ciągle pozostajemy w tym, który powinien już się zakończyć. Umberto Eco już to zauważył pisząc „*Wyspę Dnia Poprzedniego*”. Będziemy czekali na kolejny samolot do Auckland w Nowej Zelandii. Ciepły prysznic i papierowe ręczniki.



Westerplatte, 1981 r.

Teodor wpatrywał się w horyzont. Zapadł już zmierzch. Leciał nad Zatoką Gdańską, wydawało się, że tuż nad falami. Gdy szczęśliwie wystartował, przestał planować cokolwiek.

Poleciał nad Zalew Wiślany. Gdy znalazł się na wysokości Fromborka postanowił zmienić kierunek. Kierował się na północ, do Gdańska.

Od ujścia Wisły Przekop skierował się do krańca Półwyspu Helskiego. Do Helu się nie zbliżał, obawiał się ataku

ze strony wojskowych. Przeleciał nad Jastarnią, Juratą, Kuźnicą i Chałupami. Pozostałe paliwo pozwalało jedynie na dolot do brzegu południowego Zatoki Gdańskiej. To koniec podróży.

Rozkoszował się kontaktem z przekładniami, owiewką, spoglądał na skrzydła i niewidoczne śmigło. Ostatnie kilkanaście minut sunął i leciał. Silnik przestał działać nad plażą w Brzeźnie. Śmigło ustawiło się skosem i kręciło się biernie w trakcie łagodnego lotu ślizgowego, w ciszy przerywanej świstem powietrza. Teodor głaskał burtę i prawą ręką sterował samolot na początek dwupasmowej ulicy Karola Marksa.

Wyskoczył na jezdnię, myślał jedynie o tym, czy ktoś widział i podziwiał gładkie lądowanie na miejskiej ulicy. Usiadł na pasach w pobliżu Opery Bałtyckiej.

Jakiś stary, ciężki Polonez rozpoczął gwałtowne hamowanie. Jego światła były bardzo słabe, a uliczne lampy nie oświetlały tego miejsca. Zderzenie samochodu i samolotu, było fatalne w skutkach dla lekkiej aluminiowo-papierowej konstrukcji. Zapaliły się opary benzyny, podniebny ptak zapłonął. Na moment rozświetlił nieboskłon.

Samochód zatrzymał się po kilkudziesięciu metrach. Dwaj milicjanci wysiedli i podbiegli do płonącej maszyny, aby

po chwili szybko powrócić. Wyjęli broń i rozglądali się w poszukiwaniu ruchomej tarczy dla ich pocisków.

Zbieg zdążył oddalić się na bezpieczną odległość, z ulgą oddał mocz na płot, za którym w mroku kryły się budynki ujęcia wodnego. Po czym odszedł i utrwalał w pamięci ostatnie obrazy. Nie było mowy o powrocie do mieszkania, nie istniało – spłonęło.

Trzej mężczyźni z Urzędu Bezpieczeństwa jednoznacznie określili swoje stanowisko. Byli jak myśliwi, którzy natrafili na ciekawą zwierzynę. Przewidzieli jej wyjście z kryjówki. Obserwowali przez kilka miesięcy i uznali, że nadeszła pora, aby je schwytać i poddać badaniom w zamknięciu.

Uciekinier szybkim krokiem ruszył na prom przy Twierdzy Wisłoujście. Ostatnim kursem przepłynął na wschodni brzeg Martwej Wisły. Pozdrowił przewoźnika, który dopalał papierosa i wpatrywał się w mury twierdzy. Na brzegu, poniżej ceglanych czerwonych ścian, ktoś rozpałił ognisko. W całkowitej ciemności szedł po kocich łbach aż do trotuaru, wyłożonego płytami chodnikowymi, przechodzącymi w betonową wylewkę. Dotarł do pomnika.

Podniósł ciężką pokrywę z tyłu monumentu. Zszedł po stalowej drabince do dużej komnaty. W podłodze była ukryta

kolejna pokrywa, zamykająca pionowy szyb. Tu nie było drabinki. Za to ciemno w środku, jak w modelu „czarnej dziury”. Na dnie, kilkadziesiąt metrów niżej, stała woda, co można było stwierdzić, gdy wrzuciło się kamyczek. Bryłka piaskowca spadała długo i jak już miało się wrażenie, że nic się nie wydarzy, to wtedy cichutki plusk uzmysławiał głębokość czeluści. Betonowe ściany pod włazem były chropawe i chłodne. Śmierdziało mułem rzeczonym.

Teodor odczepił z małego haczyka łańcuszek, na którym wisiała mosiężna tuba. Usiadł na podłodze. W zupełnej ciszy czuł obecność swoich Opiekunów. Oni przewidzieli ten moment, sześć lat wcześniej, opisali tę chwilę ze wszystkimi szczegółami. Jeden z nich – Stefan – patrząc w oczy Teodora powiedział:

– Nie zgodzisz się Teodorze i odrzucisz składane propozycje. Zostaniesz sprowokowany i rozpoczniesz nowe życie, bazując na swoich umiejętnościach. Twoi agresorzy będą rozliczeni z rozpoznania i likwidacji kolejnego wroga ludu, za którego cię uznają.

– Zdjął ze ściany mały plecak i schował w nim tubę. Po chwili wahania rozpoczął długie wejście na szczyt pomnika. Wykorzystał do tego drabinę, po której wszedł do rury w środku monumentalnej figury, która miała obrazować

złamany bagnet, lecz raczej przypominała wojownika o dwóch twarzach i groźnym spojrzeniu, pilnującego Gdańska. Chciał zobaczyć ten widok po raz ostatni. Podniósł pokrywę i wypełził na gładką powierzchnię.

Była gwieździsta noc. Światła Nowego Portu, Brzeźna, Przymorza, Sopotu i Gdyni mrugały w jego kierunku i zadawały pytania o to, co będzie się działo w przyszłości.

Rozpoczął remanent swoich dotychczasowych osiągnięć, umiejętności i celów. Tego, co potrafił i to, co chciałby osiągnąć. Był dobrym studentem medycyny i jednocześnie brał udział w wykładach na Politechnice Gdańskiej. Uczył się podstaw elektroniki, budowy maszyn, informatyki. Jego dwaj Opiekunowie wyposażyli go w unikalne umiejętności, zdobywania przewagi w walce wręcz, strzelectwie, przewidywaniu ruchów przeciwnika i wykorzystywaniu jego brutalnej siły dla własnego zwycięstwa. Potrafił pilotować samolot! Pomimo, że dopiero skończył trzydzieści trzy lata, to zdążył już przeżyć wielokrotnie swoją śmierć. W tej chwili właśnie zdał sobie sprawę, że rozpoczyna podróż w jedną stronę – niewyobrażalnie daleką, smutną i obcą.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki